This is a work of fiction. Names, characters, businesses, places, events and incidents are either the products of the author's imagination or used in a fictitious manner. Any resemblance to actual persons, living or dead, or actual events is purely coincidental.

Ten utwór jest utworem fikcji. Imiona, postacie, biznesy, miejsca, zdarzenia i wypadki są wynikiem wyobraźni autora lub są użyte w sposób fikcyjny. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych, żywych lub martwych, lub zdarzeń rzeczywistych jest czysto przypadkowe.

The Taste of MI

Noc. Asia rzuca ostatnie spojrzenie na smyrofon, marszczy nos, i wzdycha, po czem pada na łóżko. Jest zmęczona, przysypia prawie natychmiast. Odpływa jeszcze szybciej.

Stoi na wzgórzu, włosy ma wyblakłe, nie, szare. Dwa skórzane pasy krzyżują się na mostku, przyjemnie ciąży… Gubi słowo, wysila się, łapie je na powrót.

— Pochwa. — Mruczy pod nosem, uśmiech marszczy jej twarz na ułamek sekundy.

…ciąży pochwa, inkrustowana stalą z jednej–, srebrem z drugiej strony, opalizują runy – na stali krasnoludzkie, na srebrze elfickie. Znad barków wystają głownie – z prawej ciemniejsza, z resztą rękojeści owiniętą skórą, dalej nową, niewybłyszczałą, z lewej srebro świeci delikatnie nad mikrohaczykowatą skórą Rai. Odwraca się w półpiruecie i z rosnącą euforią biegnie prez las po oślizgłych belkach nad jarami pełnymi kości, wiotkich kładkach i podstępnych żwirowiskach. Rozmywa się w skokach nad jarami, sięgając po miecze dla zachowania równowagi w biegu i locie. Zza drzew zaczyna wyłaniać się warownia, a Asia, po horrendalnie skomplikowanym przeskoku z zawisem i podwójnym saltem zrywa z oczu opaskę i nim dotknie dotknie ziemi, siłą lądowania wpychając ją do skórzanej kurty. Ostatni odcinek pokonuje na bezdechu, ot tak, żeby sprawdzić czy jeszcze umie. Umie. Przstaje. Oddycha spokojnie, ale to normalne, kiedy jest jedną z niewielu, którzy umieją trafić do Kaer Morhen. Schyla głowę, wzdychając nad widokiem, ale…

Czoło, miast na łopatkę, albo przynajmniej na obręcz barkową, trafia w pustkę, i Asia budzi się, z frustracją odpycha z powrotem na plecy i próbuje dokończyć wzdech, ale niewiele się może równać

orgazmicznemu niemal wzdechnięciu po przebiegnięciu paru kilometrów w krystalicznym górskim powietrzu, więc, jeszcze bardziej sfrustrowana, unosi się na łokciu i mruży oczy w stronę zegarka, po czym zrezygnowana opada na łóżko. Nie zaśnie, to pewne. Obraca się do okna i bierze głęboki wdech. Wspomina.

Tłum, ot – jak tłum. Tam jakie dresy, tam jaki wyrzutek społeczny z za długim włosem i aurą niepewnostrachu, tam jakaś, a, nie, to skarlała nauczycielka. Ups.

— Klasa pierwsza „A" prosz tutaj. — W synapsy wbiło jej się coś mniej mniejszego, ale za to parokrotnie szerszego, w sweterku nieporadnie kryjącym linię talii (cynicy powiedzieliby, że nie było czego kryć, co daleko od prawdy nie było), za to odjechanego w kosmos bardziej niż wyrzutek społeczny, który, po zaklasyfikowaniu zadania jako niewarte włożone weń energii z szalonym wyrazem twarzy coś liczył, mamrocząc. To musi być Lucyna O… No ni cholery o niej imieniem i nazwiskiem, Lucynka, bardziej.

— Niezła zabawa się szykuje… — Mruknęła pod prowerbialnym wąsem, łypiąc na swoją wychowawczynię, która sama wyglądała jak potrzebująca opieki, ale zaraz przestała werbalizować swoje uwagi, bo „się zaczęło".

— Witajcie, kochani, na inauguracji roku dwa-tysiące-szesnaście-dwa-tysiące-siedemnaście. — Zaczęła dyrektorka. — W szczególności witamy pierwsze klasy…

— Dzieeeeeeń Doooo≠bryyyy! — Wybełkotali mało składnie.

Dyrektorka pewnie dronowała dalej, ale została wycięta. Natychmiast przez większość gremium, i wykładniczo w czasie, po zorientowaniu się, że jest to dokładnie to samo, co przez ostatnie dziesięć lat.

Początek roku w pierwszej klasie liceum („To już osiem lat temu? Jezu, ale ja stara jestem…") wyjaśniałoby, czemu jest o te parę cali niższa i brak… A, nie, nie brak.

Po odfiltrowaniu Szanownego Grona zabrała się za dalszą motłochobserwację – tam jakiś (pół)wyrzutek społeczny numer dwa ubrany „na górala” – czarna kamizelka narzucona na białą koszulę, do tego jeansy, co w połączeniu z ewidentnym przez ciemne, kręcone, sięgające do pasa włosy faktem bycia Żydówką stawiało obserwatora przed dylematem, czy kontrast ten wynika z ramieniowzruszu na ubiór, czy z głębokiego zamysłu autorki; tam jakaś z grubsza normalna dziewczyna obraca głowę, z roztargnieniem rozglądając się po sali. Po chwili napotyka wzrok Asi i uśmiecha się. Prawdziwie, szeroko, słodko mrużąc oczy. Asia czuje, jak, przspieszając, jej serce gubi jedno uderzenie. Odruchowo uśmiecha się półgębkiem w odpowiedzi, ale jej myśli galopują. Wyuczonym ruchem starego fotografa zaciska powieki na jakieś pół sekundy, coby ~~matrycę~~ siatkówkę, przeczyścić, i otwiera je, by stwierdzić, że widok dalej wywołuje na niej efekt prowokująco-przyspieszający.

— O, kurwa. — Skomentowała bezgłośnie, bo na wiele więcej nie boło ją w tym momencie stać.

Resztę apelu spędziła na doprowadzaniu się do stanu zgrubszej używalności, więc z ulgą dała się porwać tłumowi, który usłyszał dyrektywę Lucynki i zdążał na zapoznawczo-organizacyjną część dnia. W grupie swoich dziesięcioklasistów udało ustawić się jej za zniewalająco-pobudzającą współklasowiczką. Korciło ją, co prawda, władowanie się jej prosto w biznes, a szczególnie dokonanie nosowłośnej transakcji zapachowej, ale resztki rozsądku oznaczyły ten manewr jako „**NIE**”, więc się, z trudem, powstrzymała. Dzięki swojej sprytnie wybranej pozycji udało się jej usiąść w ławce z… W sumie dobre pytanie, bo jeszcze do siebie się nic nie powiedziały, no i usiłowała na nią nie patrzeć, żeby zachować samokontrolę i nie strzelić jakiegoś głupstwa. Ale już niedługo, bo…

— No, to zaczynamy z listą obecności, kochani. Dziś bez nazwisk, bo one nie sprzyjają atmosferze… — Lucynka wykazała się jednak szczątkowym rozgarnięciem. — Kuba!

— Jestem! — Ktoś przed nimi podniósł dłoń.

— Rus… łan? — Lucynce szło jak *dress sense* półwyrzutki społecznej, znaczy nie bardzo.

— Jezdem! — Z bliskowschodnim zaśpiewem zgłosił się dres.

Asia skupiała się, żeby nie przegapić imienia dziewczyny z lewej, że na własne imię zareagowała dopiero za drugim razem. Ale skupianie opłaciło się:

— Emilia!

— Tutaj! — Z entuzjazmem, któru chyba nigdy jej nie opuszczał, współławkowiczka Asi zamachała.

Asia obróciła się, i nadstawiając pół ucha próbowała połączyć słuchanie Lucynki z dyskretną observacją Emilii, ale nie udało jej się, bo…

— Hejka! — Towarzyszka Lucynkowej niedoli odezwała się pierwsza, a z takim metaforycznym bananem, że niemożliwym było nieodebranie nieskończonych pokładów pozytywizmu[1] emanującego z każdego poru jej skóry; Asia bezoporowo poddała się jego działaniu.

— Cześć! — Zaczęła, promieniejąc coraz bardziej — Więc…

Reszta rozmowy nie zapisała się w żaden sposób w jej pamięci, bo następnym, co pamiętała było wstawanie zza ławki i udawanie się w stronę wyjścia z resztą tłuszczy połączone z gorącem policzków niemającym wiele wspólnego z wysokostojącym wrześniowym słońcem. Jakby jej głowa gorącą nie była, zaczął kiełkować w niej plan, kryptonim „Amo”[2], wraz z harmonogramem, który w większości miejsc pobłyskiwał rubinowym **ASAP**.

A potem cały świat złożył się na dwa, na cztery, na osiem, na szesnaście, i znowu leży w łóżku, patrzy na na falującą światłami panoramę miasta. Uśmiecha się lekko. Nastepny rok (dobra, dziesięć miesięcy) był zdecydowanie ciekawy – jak poderwać kogoś, żeby ten ktoś nie zorientował się, że jest podrywany? A co za filozofia? Toż z człowiekiem jak z jego uchem – małych liniowych

zmian nie zauważa, nawet jeśli skokowa sumaryczna zmiana byłaby szokiem. Kręci głową. Takie porównania to zdecydowane nie jej działka, ale, jak się postara to potrafi. Nie po to psuła parokrotnie słuchawki, żeby nie potrafić.

Odwraca się z powrotem na plecy i kładzie ręce pod karkiem, wpatrywałaby się w gwiazdy, gdyby nie parę warstw cegieł, papy i blachy. Z błąkającym się uśmiechem poddaje się napływającym obrazom. Wspomina.

Ostry aromat płonącej sosny i ciche huczenie ognia uspokajało. A może to nie ogień huczał, tylko te dwa, trzy?, drinki robiły swoje? Obraz co chwilę tracił ostrość, i, jak to właśnie zrobił, urywał się. („Tak się kończy zalewanie sobie płata skroniowego neuroinhibitorami…”[3])

Asfalt pod stopami. Czerwcowe słońce grzeje, ale nie tak bardzo jak wyczuwalna szóstym zmysłem[4] obecność Emilii (wyczuwalna większością innych zmysłów obecność lokalnego emola była pomijalna, lecz okazała się kluczowa w identyfikacji czasoprzestrzennej – ognisko częściowo klasowe zwołane w celu celebracji zakończenia dziesiątej klasy, czyli kulminacja całego roku (okej, dziesięciu miesięcy) intensywnej pracy nad biologiczną siecią neuronową pod pseudonimem MI; „Don't fuck it up…”, mruknęła, mimo, że wiedziała przecież, jak ta scena się rozegra). Zostawiły już za sobą większość paskudnych pseudowioskowych „posiadłości”, i tylko zdezelowane Prawdziwe Wiejskie Domy™ malowniczo straszyły ubiegłowiecznymi wykuszami zza świerków, na któryżto widok Павловowym[5] gestem sięgnęła po aparat, którego tam nie było (yeah, grupa mało trzeźwych nastolatków + sprzęt warty parę(naście) kilozłotych to mniej więcej tak dobry pomysł jak najeżdżanie Rosji w lecie bez uprzedniego adekwatnego przygotowania na tameczną zimę), co spowodowało zaplątanie się w emilię kończyną górną, co spowodowało wypadnięcie z rytmu

lokonomicznego, co spowodowało współrozdeptanie, co, po następnych kilku sekundach rodeptywania i ogólnego postępującego gubienia równowagi, spowodowało malowniczą *biglebę poplątaną* (gatunek chroniony we wszystkich pięćdziesięciu stanach poza New Hampshire), szczęśliwie na trawę obok asfaltu miast na asfalt sam w sobie, bo, miast przerzucania winy, łatania się i samobójstwa w perspektywie następnych dwóch lat, siedziały bark w bark na trawie i chichrały się niemożebnie, w zasadzie z niczego (niepomierna jest moc neuroinhibitorów). Gdy ocierając łzę, podniosła wzrok na Emilię, pchnięta impulsem…

— Kocham cię, psiamać. — Rozbrzmiało w… No właśnie, i tutaj problem, bo, po werbalizacji, struny głosowe pozostały nieruchome, a idea spseudowerbalizowała się tylko między nosem a potylicą. I tam też odbijało się teraz Bardzo Dużo mało składnych, ale ogólnie panicznych wątków, które, wytracając energię formwały jedną, perfekcyjnie klarowną myśl — kategoryczny imperatyw wokalizacji. Ale, pomyślała, opierając skroń na ramieniu Emilii, nie teraz. I z tymi dwoma walczącymi o wszechogarniającość konceptami, obraz rozmył się, aż one były jedynymi odczuwalnymi bodźcami.

Pierwszą zauważalną rzeczą była horyzontalizacja, drugą – domowy (i więcej, *wink wink nudge nudge*) zapach, trzecią – błyszczące zdjęcie Emilii (plus rodziny), lampa, polaroid z rodziną (plus palcem Emilii), sufit, zdjęcie gór (plus świerków, miejscami nawet podobnych do rodziny), wysoce apetyczny bark, odbitka bliżej nieokreślonego, a dalej rozmazanego czegoś, a, nie, to tylko podłoże zafalowało w unisonie z barkiem wapetyczniającym się weń wraz z resztą współprzymiotnikowej osoby, no to powtórka z rozrywki i reklasyfikacja bliży-dali-mni-bardzi-nieokreślono-rozmytego na Emiliję, *sans* rodzina, *avec* niżej podpisana. Ta, więc, kupka obejrzana, należy zbadać zatem kupkę polimerów opartych na węglu („Na taki cynizm dostaniesz zezwolenie po piątym krzyżyku dopiero.” Zaśmiała się. „No, ewentualnie jak z różowym papierkiem

»smutni« przyjdą, ale to nie Чечня.” Po wspomnieniu o Чечне zaśmiewała się zdeka mniej, ale co na starego cynika poradzisz…), toteż tytanicznym wysiłkiem woli obróciła czaszkę o dziewięćdziesiąt stopni w lewo, i na tamten tychmiast skorygowała o minus dzisięć po wtwarzowaniu się w prosty blondwłos, należący, jeżeli nos jej nie mylił, ani, po korekcie, również oczy – i jej, i te srebrnobłękitne, trzy cale przed nimi uśmiechające się szelmowsko w komitywie z większością swojego jestestwa, do Emilli Zet(kropka), która zareagowała na operacje płucnonosowe w własnymi, i, marszcząc nosek…

— Hibiskus? — Zapytała.

— Jaki, kuna, Ibiskus? — Asia uniosła brew.

— Coś ty Gibiskusa w życiu nie wąchała? — Ton dalej poważny jak, nie przymierzając, świeżo upieczony grabarz przymuszony do przeszukania trumny denata po „wypadku” z prasą do kształtek żelazowęglowych.

Mrużąc powiekę (tą z drugiej strony, aż taka dobra nie była) szukała w pamięci i powietrzu kontekstu z hibiskusem w roli niepośledniej i/lub aromatycznej, czego nie ułatwiało niezerowe n col z wódką (wódek z colą?) przepuszczonych przez jelito cienkie, ani – może nie do końca obezwładniająca, ale zdecydowanie utrudniająca koherentne myślenie – obecność w.w. Emilii (dla przyjaciół „Emi”, dla osób jeszcze **cough** bliższych **cough**… cóż, jak jej dobrze pójdzie to do rana się dowie; nu, precedens uzyska przynajmniej), jednak, nim zdążyła się dobrze naszukać, wyrwał ją z głębi płata skroniowego tłumiony bulgot przechodzący w gorzej tłumiony chichot, i potem obie rychnęły śmiechem serdecznym, słowiańskim, a po tych circa $.789$ gramach etanolu na kilogram to tylko wołać chór Aleksandrowa[6] i certyfikaty lepić. Wszystkie, jednak, śmiechy, nawet te symptomatyczne w dziewiętnastym jeszcze wieku „histerii”, muszą się skończyć, więc, po osiągnięciu szczytu, kiedy serio myślała, że jedna przynajmniej z nich się uduśnie (ale, co oczywiste, udało się nie), nastąpiła krawędź

opadająca, czyli coraz głębsze wdechy, coraz rzadsze i wolniejsze kurcze wydechu, coraz lepszy kontekst do rzucenia czegokolwiek, żeby spotkało się ono z rozważeniem rychłymi i szybkim, ale głębokim, toteż, nie zastanawiając się głębiej (tak tak, zalewanie się wódą w wieku lat 17 (ledwo, *yadda yadda yadda* jednym, ale intuicja psychologa drugim).

— I za to cię, cholera, kocham. — Palnęła.

— Za co? — Chociaż w sumie równie dobrze mogło było to być „Że co", ale liczyła na pamięć natychmiastową[7] żeby się nie powtarzać (nomen omen nie przeszłoby jej to przez gardło).

— Za ten humor, no.

Emilia trawiła. I o ile przeważnie procesy trawienne nie są przewaćnie bardziej interesujące niż Proces Bessemera[8], ale teraz trawiła uprzednią wymianę zdań, i, mimo, że na nią wychodzi(ło) te 9 procent więcej, to wychodziło jej to zdecydowanie za wolno, I już, kiedy Asia zaczęła dopuszczać do siebie myśl, że może kompletnie spieprzyła sprawę, Emi sprężyła się w sobie i, zdecydowanie tym razem za szybko, zamnęła dystans między ich wargami, zwiększyła między swoimi, i zwyczajnie ją wzięła pocałowała. Smakowała, hmmm, mlaskanie było w tej sytuacji nie tylko utrudnione, ale również wysoce niestosowne, ale *tertio* wódą, *secundo* po prostu Emilką, a *primo*…

— Hibiskusem. — Parska śmiechem i otwiera oczy na sufit ich apartamentu na starym mieście.

Tak, bycie udaną malarką zdecydowanie miało swoje plusy, ale, jak powiedziałby każdy weekendowy powieściopisarz, ma też swoje minusy, jak, na przykład, tłuczenie się z Sopotu po nocy – ot, wystawa jakich dużo.

Asia wzrusza ramionami i oddycha głęboko. Wspomina.

Sewencja obrazów: Studniówka, wybory Jaśnie Oświeconego Z Bożego Nadania (bo i o tym aspekcie bycia władcą absolutnym nie

należy zapominać, bo jest on szczególnie ważny do jej utrzymania[9]) Władcy Jedynego ~~Rzplitej Nam Drogiej Wielce~~ Balu Wielce Pięknego (Z Małżonką) ze zdjęciem; taki sam szelmowski uśmiech, gdy ciągnie ją na wernisaż, taki z werwą, i adekwatnie, bo inaugurował wystawę „jednego z największych talentów nowożytności”[10] (rozważania, której z nich trafiło siętepiej, zostawiała w.w. emolowi); oddanie do użytku jej praktyki[11] psychologicznej; mikrowystawa fotograficzna z jej „odważnymi prezentacjami klasycznych zagadnień”[10], co w pseudomowie paradziennikarskiej jest nulem werbalnym (i, w połączeniu z resztą artykułu, testamentem rażącej niekompetencji autora) brzmiącym na tyle pompatycznie, żeby „koneserzy sztuki nowoczesnej” czyli „Bufoniaste Pedały”, jak ich nazywały, pokiwali w udawanym zadumaniu durnymi łbami; zamieszczenie jej zdjęć w *Photo Camera* i *National Geographic*. Hej, dobre czasy.

Z zamyślenia wyrywa ją chrobot zamków i metaliczne trzaśnięcie klamki, słyszy zrzucane buty i szelest odwieszanego płaszcza, marszczy nos na długi, zmęczony wydech i przesuwa się nieznacznie gdy EmI pada obok niej na łóżko. W jej objęciu, przy jej obręczy barkowej czuje się bezpiecznie. Ich wargi odnajdują się na ułamek chwili, ale na języku zostaje jej aromat kawy ze stacji benzynowej, hibiskusa i czegoś jeszcze, czego nie potrafi nazwać.

Jednak z uśmiechem zasypia w objęciach Emilii, bo wie, że Emi, *jej* Emi smakuje, jak nikt inny.

Przypisy

[1] Pokłady pozytywizmu – pozytywizm to co prawda ruch renesansowy, ale dobrze to brzmi, więc weszło do mowy potocznej.

[2] *Amo* – łac. „kocham”

[3] Płat skroniowy – odbywa znaczącą rolę w formowaniu pamięci długoterminowej. Źródło.

[4] Szósty zmysł – ludzie mają zdecydowanie więcej zmysłów ale proverbium jest jakie jest.

[5] Иван Петрович Павлов – Rosyjski uczony prowadzący badania nad warunkowaniem klasycznym (pawłowowskim). Więcej.

[6] Chór Aleksandrowa – męski chór Armii Rosyjskiej. Więcej.

[7] Pamięć natychmiastowa – eng. working/immediate memory, pamięć o długości rzędu paru sekund, z niej podpowiadane jest przeważnie w sytuacji gdy natychmiast po niedosłyszeniu odpowiedzi pyta się „Co?” i, do czasu wypowiedzenia go, się przypomina.

[8] Proces Bessemera – eng. na, po prostu, Konwertorowanie, ale *Bessemer Steel Process* brzmi znacznie lepiej.

[9] Władcy absolutni – na podstawie Why the West Rules--for Now: The Patterns of History, and What They Reveal About the Future, Ian Morris 2011.

[10] „Cytaty” – byłyby za GW gdybym ich nie wymyślił.

[11] Praktyka psychologiczna – wiem na temat dokładnie ∅, więc nie ręczę, za istnienie czegoś takiego.

30.06.2017-12.08.2017
Kraków–Wysowa-Zdrój–Παλαιό Τρίκερι–
Βόλος–Grecka przestrzeń powietrzna
A. Łopacińska